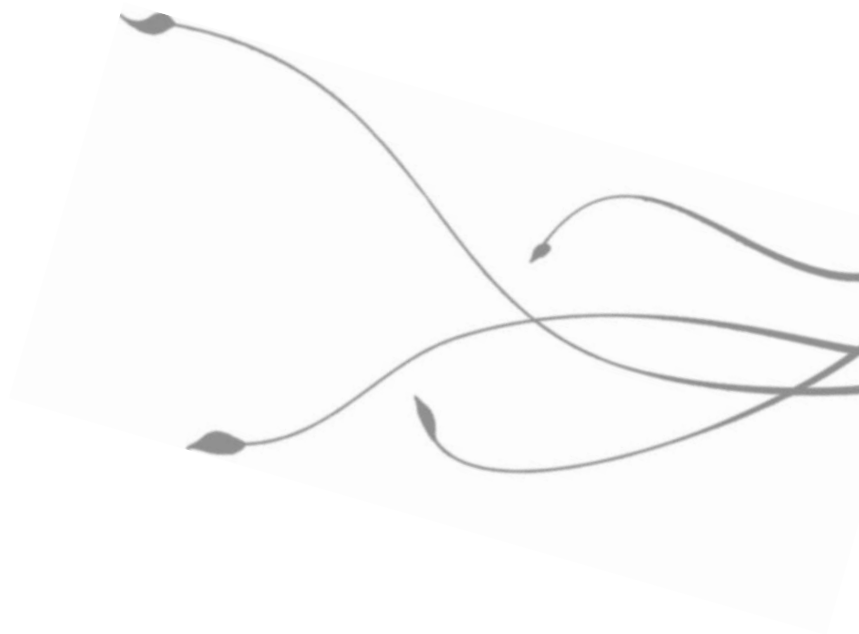


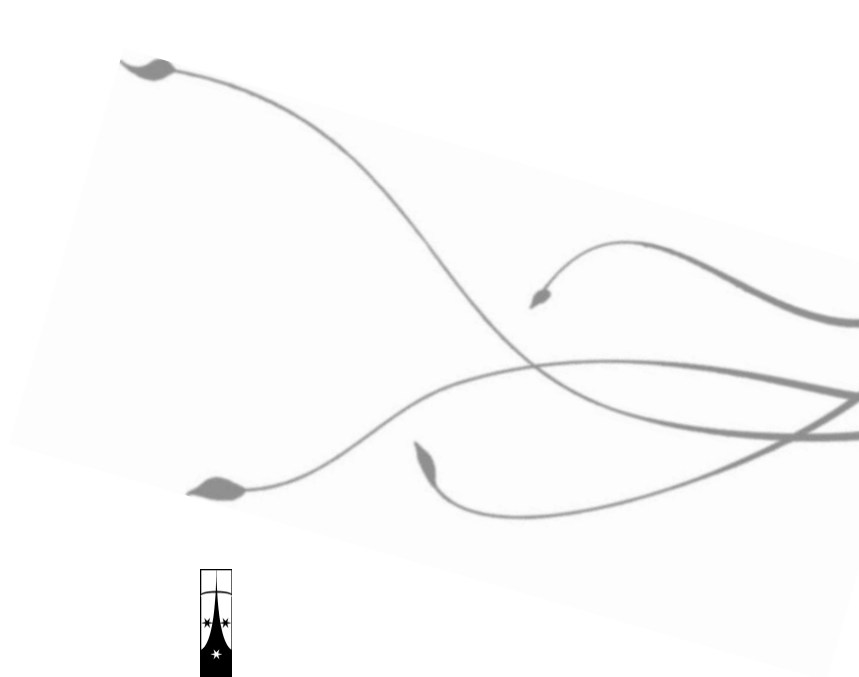
*Nigdy nie rodzi się
byle kto...*



*W hołdzie
ludziom opisanym w książce
i wszystkim tym,
którzy dzielili podobny los...*

Malina Stahre-Godycka

*Nigdy nie rodzi się
byle kto...*



FLOS CARMELI
POZNAŃ 2011

© Copyright by Elisabeth Stahre
© Copyright for the Polish edition by FLOS CARMELI & Elisabeth Stahre

Redakcja Ewa Kardas ZSNM

Korekta Zofia Błajek

Projekt okładki Szczepan Talar OCD

Wydawca FLOS CARMELI Sp. z o.o.
Wydawnictwo Warszawskiej Prowincji Karmelitów Bosych
ul. Działowa 25, 61-747 Poznań
tel.: 61 856 08 34; faks 61 856 09 47
e-mail: wydawnictwo@floscarmeli.poznan.pl
www.floscarmeli.pl

Druk i oprawa UNI-DRUK Luboń

ISBN 978-83-62536-29-0

OD AUTORKI



Choć *Nigdy nie rodzi się byle kto...* czyta się jak powieść – dołożyłam wszelkich starań, by jak najwierniej odtworzyć i historię, i to, co przeszli bohaterowie, a wraz z nimi tysiące innych ludzi w tych czasach. Wiele lat poświęciłam zebraniu i opracowaniu materiałów źródłowych.

Kiedy opuszczałam Australię, gdzie odwiedziłam dwie z głównych postaci, usłyszałam: „You live your life for others to make their stories known”.

Pisząc tę historię, żyłam nadzieją, że książka znajdzie żywy odzew u czytelników.

Że tak się stało, świadczą listy, które do dziś przychodzą – mimo upływu lat od pierwszego wydania (ostatni od kapitana Żeglugi Wielkiej TD – dziękuję, Kapitanie! Wielkie dzięki wszystkim...).

„...nareszcie dowiaduję się o rzeczach, o których się nie wiedziało, albo bało się mówić”.

„...takie konkrety, jak ucieczka znad Amuru, miłość Tani, czy spotkanie Józefa z matką mówią wszystko o czasach i ludziach”.

„...zdumiewająca jest postawa bohaterów wobec okoliczności, na które nie mają wpływu – na śmierć się szykuj, ale żyto siej”.

Ktoś zapytuje w swoim liście: „czy można się zgodzić z tytułem?” – każdy musi chyba sam znaleźć na to odpowiedź.

Będę szczęśliwa, jeśli temat książki stanie się bliski czytelnikom drugiego wydania.

Jestem nieskończenie wdzięczna moim bohaterom za to, że podzielili się historią swojego życia, by przydała się innym.

Jestem nieskończenie wdzięczna mojemu Mężowi Piotrowi – opoce, bez którego książka nie powstałaby. Piotr rozumiał, co znaczy Rodzina, Tradycja, Historia i wartość przekazu dla następnych pokoleń. Był dla mnie źródłem inspiracji

i wierzył we mnie jako Autorkę. Ale przede wszystkim rozumiał sens ludzkiego życia.

I jeszcze dwom osobom chciałabym wyrazić moją bezgraniczną wdzięczność: Aleksandrze Wrzeszczyńskiej i Iwonie Swedborg – za dyskusje nad tekstem, które okazały się bezcenne.

Chciałabym też podziękować poznańskiemu wydawnictwu Flos Carmeli za inicjatywę, włożony trud i rekordowe tempo przygotowania tego wydania książki.

Malina Stahre
Szwecja, październik 2011

ROZDZIAŁ 1

*Ciotka urodziła się w Europie, żyła w Azji,
umierała w Ameryce. Rzucając snop światła na swój los,
wydobywała z mroku losy milionów.*

Lethbridge – Kanada, 1987

Nagle ciotka Hela otworzyła oczy i uniosła głowę znad poduszki.

– Kto tu umiera? Ja czy ty?!

Oślupiałam. Nie wierzyłam uszom. Od dwóch dni leżała przecież z zamkniętymi oczyma i jedynym znakiem życia był jej ciężki oddech. Tylko czasem wyciągała ręce. Myślałam, że szuka mojej dłoni. Ale nie tylko o to jej chodziło. Podnosiła ręce ku górze, otwierając ramiona jak na powitanie kogoś drogiego. Jakby szła komuś naprzeciw. Przesuwała się przy tym niebezpiecznie w kierunku krawędzi łóżka.

„Znowu...” – pomyślałam, kładąc ją z powrotem na środek materaca. Byłam coraz bardziej poirytowana, zmęczona, a do tego miałam wyrzuty sumienia z powodu obu tych uczuć. Poza tym bałam się.

Co dzień i co noc – bałam się. Że ciotka będzie umierać, a ja – po prostu chrapać obok na fotelu. Że nagle stracę ją z oczu i już nigdy sobie potem tego nie wybaczę. Dlatego też spałam dwie – trzy godziny na dobę, z budzikiem w ręku. A idąc do łazienki, otwierałam drzwi, żebym mogła widzieć ciotkę w lustrze.

„I te gesty. Co to znaczy?” – myślałam, zagłębiając się w fotelu i naciągając koc.

Kilka dni temu niespodziewanie kazała mi wyjąć z szafy walizki. Popatrzyła na nie i dała znać, żeby schować. Przedwczoraj wyszeptwała:

– Pociąg przyjedzie jutro. Słyszysz, jak bębni i grzmoci?

Jakby wiedziała. Jakby mówiła o tej czekającej ją Wielkiej Podróży. Podróży, w którą ja jeszcze nie całkiem wierzyłam. Albo raczej nie chciałam wierzyć. (Jak u wielu tych, którzy pielęgnują umierających, i u mnie pojawił się syndrom Wszystko-Będzie-Dobrze.)

Gotowałam więc dla ciotki jajka i... wyrzucałam. Ale miałam przecież nadzieję, że może znowu zje całe żółtko i powoli zacznie wracać – przynajmniej do życia, jeśli nie do zdrowia.

Czasem mnie poznawała, czasem nie. Ale ostatnie dwa dni nic już nie mówiła. A teraz nagle – patrząc mi prosto w oczy – zwróciła się do mnie, i to z jaką energią:

– Kto tu umiera, pytam się – powtórzyła, korzystając z tego, że zaniemówiłam z wrażenia.

– No, niby ty... – wydobyłam z siebie niepewnie.

– Ano właśnie! – oznajmiła mi, a wokół ust zobaczyłam ślad uśmiechu. Jakby wyraźnie ubawiła ją ta myśl. To przecież ona, a nie ja, była właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. – A ty wyglądasz jak trup. Idź, zjedz coś! – rzuciła rozkazująco.

Po czym wyczerpana wysiłkiem, opadła na poduszkę. Znowu leżała bez życia, z zamkniętymi oczyma, jakby nigdy ich nie otwierała i nigdy nie podnosiła głowy. Wstałam z fotela i wyszłam z pokoju. Czułam, że muszę zamienić z kimś choć parę słów.

Ale na korytarzu nie było nikogo i niczego prócz nocy i ciszy wielkiego domu o nazwie *Heritage Lodge*. Z ogromnej kuchni dochodził pomruk lodówek. Gdzieś szumiał wentylator. Tylko małe czerwone światełka przy kontaktach elektrycznych rozpraszały ciemności.

W wygodnych pokojach z łazienkami spokojnie spały „ślimaki”. Ciotka nazywała tak siebie i swoich bliźnich zamieszkujących ten wygodny, elegancki dom dla starych ludzi. Dla tych, którzy nie mogli już sami zrobić zakupów, ugotować, wyprać i sprzątnąć, których istnienie dawało „tylko” sens życia innym. Mary, Kathy czy Gloria, które przychodziły tu do pracy, czuły się potrzebne i niezastąpione. One były w samym środku życia, a jesień życia osób takich jak ciotka dawała im zarobek.

Dom leżał w małym miasteczku Lethbridge, w zachodniej Kanadzie, tysiące mil od Mińska, gdzie ciotka urodziła się prawie sto lat temu.

Mińsk – stolica dzisiejszej Białorusi, miasto przechodzące z rąk do rąk, miasto wielkich książąt litewskich, królów polskich i rosyjskich carów, w końcu Lenina, Stalina i ich spadkobierców, którzy zamknęli je (jak i resztę Rosji) dla świata na wiele lat. Znałam je z zasłyszanych w dzieciństwie opowieści, w których prawda graniczyła z legendą i które chłonęłam tak, jak tylko dzieci potrafią.

Czyżby nazwa „Mińsk”, pochodząca ponoć od słów „mieniac się”, „zamieniac”, była zaklęciem? Zaklęciem, zmieniającym ciągle – na dobre czy na złe – losy i władców tego miejsca? Miejsca w dzień czarującego łagodnością, nocami pełnego mgieł i mickiewiczowskich szeptów:

Miesiąc świeci – jeździec leci
Po zaroślach i po krzaczach:
Panno, Panno, czy nie strach?
Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem, – głucho w lesie;

Tu i ówdzie wystraszona
W suchej jodle kracze wrona¹.

Mińsk – miasto modlące się: w katolickich kościołach i w cerkwiach, w meczetach i w synagogach, kiedyś pełne klasztorów – benedyktynów i jezuitów, dominikanów i franciszkanów. Miasto tańczące mazura i lawonichę², wtórujące na mandolinie, akordeonie i flecie. Grające w pokera i w szachy, śpiewające przy dźwiękach cytry. Nienawidzące i kochające po polsku, rosyjsku i białorusku, po hebrajsku, niemiecku, a nawet tatarsku. Bogate, zasobne jak okalające je lasy, w których obok sosen rosły świerki i brzozy, sosny, dęby i jesiony, przemykały się gronostaje i rysie, nad którymi kołowały jastrzębie, z głębi dochodziło pomrukiwanie niedźwiedzi, ryk żubrów, a zimą wycie wilków; lasy tokujące głuszcami, pełne cietrzewi, miodu i żywicy, rozkopywane przez dzikie śwynie, tratowane przez łosie, podszyte leszczyną, pełne grzybów i jagód, gdzie obok bobrów żyły susły i rosomaki.

Miasto wyrosłe na ziemi rzekami płynącej³, nad którą przelatywały żurawie i czarne bociany. Gdzie kiedyś, dawno temu, w czasach, których nie sięgała pamięć (nawet ciotki), żyły mamuty.

Zanim ciotka zachorowała, byłam u niej w Kanadzie trzy razy. Tygodniami wsłuchiwałam się w to, co mówiła. Dlaczego? Bo mówiła o rzeczach nie z tej ziemi – przynajmniej dla mnie – o wydarzeniach odkrywających historię, fascynujących, wzruszających. Jej opowieści wciągały jak wir. Ale było w nich coś więcej niż intrygująca fabuła. Siostra ojca, rzucając snop światła na swój los, wydobywała z mroku losy milionów. „Miliony przeżyły to samo – skwitowała jedną ze swoich opowieści – i nikt im pomnika za to nie wystawił”.

Ale to nie dzięki tym milionom, lecz dzięki kilku osobom, które kochałam, mogłam odkryć ten niepojęty dla mnie (i pewno nie tylko dla mnie) świat.

Po rozmowach z ciotką łapałam oddech podczas rannych wypraw na prerię, leżącą tuż za Lethbridge. Budziłam się o drugiej, trzeciej nad ranem i wychodziłam na palcach z domu. Gigantyczna równina płonęła światłem rannego nieba. Ani jedno drzewo, krzak, nawet źdźbło trawy nie zakłócało tej gładzi. I chyba dlatego preria wydawała się jeszcze większa. Jeszcze bardziej nieprzemierzona. Bezkresna – jak niebo nad nią. Dopiero tu dosyć było miejsca i czasu, aby wysypać z głowy całą furę myśli, wyzwolonych opowieściami ciotki.

Ciotka urodziła się w Europie, żyła w Azji, umierała w Ameryce. Należała do tych milionów ludzi, którzy wędrują. Zadawałam sobie odwieczne pytania, na które odpowiedzi jest pewnie tyle, ile dusz na świecie: Czy miała jakiś wybór? A może nie miała kontroli nad własnym życiem? A jeśli nie, to co tym życiem kierowało? A może: Kto? Jaki kształt nadawały jej duszy te wędrowki?

¹ A. Mickiewicz, *Ucieczka*, w: *Dziela*, t. I, Warszawa 1949, s. 261.

² Lawonicha – białoruski taniec ludowy.

³ Na Białorusi, mającej powierzchnię niewiele ponad 200 000 km², jest 90 000 km rzek.

– Wojny, choroba, śmierć, miłość, praca, pieniądze, dzieci, rodzice, przypadki – wszystko to są przyczyny, dla których żyjesz tak lub inaczej – powiedziała kiedyś na jednej z naszych „sesji”.

– Ale co kieruje przyczynami? – zapytałam. Ciotka westchnęła i patrząc w ziemię, powiedziała:

– Wszyscy się głowią, „dlaczego”. Mnie przyszło kiedyś do głowy pytanie: Dlaczego pytamy „dlaczego”?

Potem, podnosząc na mnie oczy, dodała z uśmiechem przekory:

– Nawet w nekrologach ten i ów żałobnik jeszcze się dopytuje, dlaczego, *why?* Jakby zapomniał, że śmierć jest możliwa. Jakby śmierć musiała się wytłumaczyć, dlaczego w ogóle przyszła, albo dlaczego przyszła teraz, a nie później, i zabrała najbliższego. A tymczasem ona nie musi...

– Pamiętam – mówiła po chwili dalej – jaka byłam kiedyś szczęśliwa na lekcji fizyki. Uczyliśmy się o protonach i elektronach. Wydawało mi się, że wreszcie wiem, jak jest świat zbudowany. Aż znajomy nauczyciel powiedział: „To tylko model rzeczywistości”. I przyniósł trochę grubszą książkę. Wtedy zrozumiałam, że nawet gdybym i tę książkę pochłonęła, to znajdzie się jeszcze grubsza. I miałam rację. Teraz niedawno odkryli te... no, jak im tam? – Ciotka kręciła palcem kółka w powietrzu.

– Kwarki? – zapytałam.

– O, właśnie! – ucieszyła się.

– Ale na tym nie koniec. Trzymaj się fotela, to ci coś powiem – zapowiedziałam. Ciotka, jak w dobrej zabawie, na komendę ucisnęła mocno poręczę i pochyliła się do przodu w wyczekującej pozie. – Podobno badając materię najnowocześniejszymi metodami, fizycy doszli do wniosku, że najgłębszą strukturę materii stanowi wibrująca energia – zniżyłam głos do szeptu. – Wyobraź sobie, że wszystko tu, w tym pokoju, wibruje z różną częstotliwością. Dlatego też nawet „martwe” rzeczy, takie jak twoja komoda i fotel, też żyją. Tylko jakby inaczej, na wolniejszych obrotach.

Ciotka słuchała przejęta. Nagle pogłaskała czule poręcz fotela i zwróciła się do niego z uśmiechem:

– Oj oj oj, mój ty biednieńki, musisz mnie znosić całe życie.

Po czym, zmarszczywszy czoło, rzuciła w moim kierunku:

– Co ty wygadujesz!

– To nie ja, tylko pewien człowiek o nazwisku Böhm, profesor z Londynu, fizyk teoretyk – broniłam się.

– To znaczy – podjęła ciotka – że ty i ja, i komoda, i ten kwiat w oknie, wszyscy... – urwała w pół zdania.

– ...mamy wspólny mianownik – dokończyłam tonem wieszcza. Chociaż, jak większość śmiertelników, nie rozumiałam nic więcej oprócz tego, że fizyka stawia wszystko na głowie.

Ciotka pokręciła głową i opadła na oparcie fotela, jakby duch z niej uleciał.

Faktycznie, perspektywa, że i kamień, i komoda ciotki mogą mieć jakiś rodzaj świadomości, była zawrotna. Tak jak zawrotny jest nowy obraz naszego świata, który nauka stara się zbadać, zdefiniować, ogarnąć. Na przykład żaden szanujący się astronom nie zgodziłby się do niedawna z twierdzeniem, że nasz system słoneczny jest jedyny w swoim rodzaju. A tymczasem według Geoffreya Marcy ani jeden z osiemnastu nowo odkrytych systemów nie przypomina naszego.

– I popatrz, że są ludzie, którym się wydaje, że mają na wszystko odpowiedź. Tacy pewni siebie jak ja – podsumowała ciotka i parsknęła śmiechem.

Jej wywód przywiódł mi na myśl historyjkę o Einsteinie. Geniusz, zapytany kiedyś na wykładzie, czym jest energia, odrzekł z zakłopotaniem: „Proszę państwa, odpowiedź na to mają nauczyciele szkół średnich; ja umiem ją tylko obliczyć”.

Ciotka, słuchając mojej historii, aż klasnęła w ręce z uciechy, po czym dodała poważnie:

– A to dobre! No, ale wiadomo, że im człowiek więcej wie, tym mniej kategoriyczny. A Prawdy – przez duże P – nie poznasz, póki nie umrzesz i nie pozbędziesz się ot, tego – dotknęła rękoma piersi, tułowia i głowy: – ciała!

Była księgową, świadomie albo i nie, przywoływała idee Platona. Nie pierwszy raz wprowadziła mnie w zdumienie. Pośpieszyłam sobie z wyjaśnieniem, że przecież całe życie czytała. Jakbym próbowała zapobiec konkluzji, że widocznie sama do tego doszła.

– Ale choć sensu życia nie znasz, to żyć chcesz, czy nie? – pytanie było retoryczne. – To jest tak, jakbyś prowadziła samochód we mgle: drogi nie widzisz, ale to nie znaczy, że jej nie ma.

Ciotka chciała wierzyć, że we wszystkim, co się dzieje, jest sens. Taki czy inny, ale jest. Że powoli można go odkryć, jak tę drogę.

– Jednym pomagają w życiu religie, inni muszą radzić sobie sami – stwierdziła, wzruszając ramionami.

– Uczucia religijne są jak pory roku – zacytowałam jej w odpowiedzi Anthony’ego de Mello. – Czasem panuje w sercu zima, czasem lato z jesienią, pełną plonów, a czasem przymrozki w środku wiosny.

Ciotka pokiwała głową, a potem grożąc mi palcem, ostrzegła:

– Tylko nie pytaj, skąd się bierze w człowieku potrzeba religii. Pytania można stawiać w nieskończoność. Gdzieś trzeba powiedzieć: stop.

– Ale gdzie?

– Wiesz co, moja kochana? – uśmiechnęła się łagodnie. – Zamiast zachodzić w głowę, dlaczego tłukłam się po Bożym świecie, dostawałam w skórę albo byłam szczęśliwa, lepiej zastanowić się, co dla mnie z tego wynikło...

Ciotka opowiadała bez sentymentów. Tylko raz miała wypieki na policzkach: kiedy mówiła o swoim ojcu.

– W Mińsku, jak i w całej Rosji, po rewolucji dziewięćset siedemnastego roku zapanował straszliwy głód. Cztery lata głodu. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Czy ty to rozumiesz?

Pokręciłam głową przecząco. Nie rozumiałam, w każdym razie tak, jak by ona tego chciała.

– Syty nigdy nie pojmie głodnego... – powiedziała cicho.

Miała rację. „Głód” był dla mnie słowem zostawiającym po sobie chwilową ciszę, współczucie i ciężkie westchnienie. Jakby dalekim grzmiotem, który nie zagraża. Tak jak wojna w Kambodży czy powódź w Indiach. Jak mocno zajmują nas te nieszczęścia? Nas, którzy jesteśmy od nich daleko? Na jak długo? W końcu sprawy z własnego podwórka zwyciężają. A jak integrować je ze „sprawami świata”? Oto jest pytanie.

Wydawało się, że ciotka nie ma ochoty rozmawiać na ten temat.

– Ach, co tam gadać. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr – zamknęła, jakby zniechęcona.

Ale po chwili, w Lethbridge w roku 1984, ożył Mińsk z roku 1920.

– Latem było nie najgorzej. Mogliśmy jeść zupę z liści, a nawet kartofel się trafił od czasu do czasu. Ale zimą... – ciotka machnęła ręką. – A zimy u nas porządne, musisz wiedzieć. Śnieg ot, taki, do pasa, mróz, jak ściśnie, to trzyma do marca. A w dwudziestym roku przyszła najcięższa z wszystkich zim od stu lat. Ojciec dostał zapalenia płuc. Na palcach wkradałam się do jego pokoju, żeby go nie obudzić. Z bijącym sercem kradłam mu z nocnego stolika wysuszone kawałki chleba. Sumienie mnie gryzło, ale głód był silniejszy od sumienia. A mnie aż skręcało wewnątrz. Z ojcem było coraz gorzej. O lekarzu i lekarstwach mowy nie było, więc jak stracił przytomność, wiesz, co mama zrobiła? – Ciotka uśmiechnęła się żałośnie. – Mama pobiegła po weterynarza. Ojciec umarł, a ja myślałam, że to przeze mnie. Wykładałam mu przecież chleb – zamilkła.

Po chwili głośno i głęboko westchnęła:

– Długie, długie lata tak myślałam.

– Ile lat miał ojciec? – zapytałam.

– Pięćdziesiąt cztery.

– Powinno mnie już dawno nie być. Tak byłoby najsprawiedliwiej – mówiła ciotka innego dnia. Nie było w tym stwierdzeniu cienia patosu. – Jak drzewo zacznie gnąć, to go nie naprawisz. Jak człowiek zaczyna nie widzieć, nie słyszeć i ledwo człapie, to też go nie naprawisz. Takie prawo natury – skonstatowała.

– Można odsunąć to człapanie na parę lat albo człapać w zdrowiu – zaoponowałam.

– Można – zgodziła się. – Ale końca i tak nie ominiesz. A właśnie tego się ludzie boją. I może byłoby lepiej, żeby zamiast szukać lekarstwa na starość, szukali lekarstwa na ten strach.

Życie w domu „ślimaków” było jednym wielkim oczekiwaniem. Na posiłki, na wizyty, na deszcz, na słońce, na list.

– Wiesz, człowiek nie słyszy dzwonka na obiad, ale chwilę przedtem wszyscy wypełzają ze swoich dziur, punktualnie, jak jeden mąż. – Podziw ciotki zaprawiony był ironią. – Trzeba tylko patrzeć na zegarek: jeszcze pięć minut, jeszcze cztery, jeszcze dwie i można iść!

Okrągła jadalnia, ze szklanym dachem, wpuszczającym mnóstwo słońca, leżała w środku budynku.

– Ta Betty to miła kobieta – mówiła ciotka – ale cóż z tego, skoro ja jej nie słyszę! A mnie za to Mary nie rozumie. Ach, ta starość... Dla każdego jest niespodzianką. A zresztą, nie mamy o czym rozmawiać. One są u siebie – ja nie. Nasze życie bardzo się różni; o czym tu gadać – stwierdziła bez wielkiego smutku.

– Może właśnie dlatego byłoby o czym gadać – przerwałam jej.

Ale ciotka potrząsnęła zdecydowanie głową i powtórzyła:

– Starość nie ciągnie do starości. Żaden ślimak nie interesuje się drugim, bo zajęty jest trzymaniem się własnego życia. Co innego z młodymi rozmawiać! A w ogóle to ja jestem przecież *displaced person*, dipis! – zaśmiała się.

Termin *displaced person* miał związek z wojną. Nagle z terażniejszości, przeżywanej w towarzystwie ślimaków, przeniosłyśmy się do dramatycznych chwil z końca wojny.

– Wiesz, że Niemcy zabierali ludzi z podbitych terenów nie tylko do obozów koncentracyjnych, ale także do obozów pracy. Na roboty do *Vaterlandu*. Tak więc, jak wojna się skończyła, tysiące Polaków, Rosjan, Ukraińców, Węgrów, Czechów i innych znajdowało się w Austrii i Niemczech. Nie byli już więźniami i siłą roboczą, ale siedzieli i tak w tych samych obozowych barakach. Jak w gigantycznych punktach zbornych, administrowanych przez aliantów.

– Po jakiego licha tam siedzieli? – zapytałam naiwnie.

– Czekali, aż otworzą się przed nimi granice na Zachód. Nie chcieli wracać do siebie, w sąsiedztwo *batiuszki* Stalina. To tych ludzi alianci nazywali *displaced persons*. Ja też byłam w takim obozie. Ale przedtem – dodała z przymrużeniem oka – odtańczyłam jeszcze inny taniec.

Kiedy Niemcy wywieźli mnie z Rosji na roboty do Austrii – ciągnęła ciotka – pracowałam najpierw w polu u jakiegoś chłopca. Ale tak mi ręce popuchły, że nie mogłam utrzymać talerza, a co dopiero łopaty! Palce miałam grube jak kołki grubości trzech centymetrów, i całkiem sztywne. Trzeba było wysłać mnie do innej pracy. I tak poszłam na służbę do komendanta policji. Rodzina była duża: komendant, krzykliwa żona, nie licząc kwaśnej teściowej i trojga dzieci. Zaczynałam o piątej rano, a kładłam się o jedenastej wieczorem. W niedzielę, między pierwszą a czwartą, miałam trzy godziny wolnego. Rodzina spała wtedy po obiedzie.

Już pierwszego dnia gospodyni odebrała mi wszystkie kartki żywnościowe. Znowu głód skręcał mi kiszki. Ale czasem udało mi się ukraść jej dwa, trzy kartofle. Pieklam je wtedy po kryjomu w popiele, pod kotłem z praniem. Pyszne były! – ciotka przyłożyła koniuszki palców do ust, tak jak się posyła buziaka. – Tylko dłonie bolały, jakby ktoś nożem ciął. Trzeba było wykręcić szmatę do

podłogi, ale jak? A policz sobie, ile podłóg było do mycia, pastowania i pucowania w dwupiętrowym domu z parterem. Uratował mnie kaszel!

– Co? – zdziwiłam się.

– Całymi dniami i nocami zanosłam się kaszlem – mówiła ciotka wesoło. – Gospodyni też spać nie dawałam. A że miałam gorączkę i bolało mnie w płucach, no to kobiecina pomyślała, że mam gruźlicę. I wyrzuciła mnie po paru dniach. Nie chciała narażać swoich dzieci. Dobrze, co? – wspomnienie o tym wyraźnie wprawiło ciotkę w dobry humor. – Potem do końca wojny pracowałam w domu dla niewidomych. Sprzątałam i szyłam. Po wojnie przyjęła mnie Anglia, a potem wyjechałam do Kanady. Ale przedtem jeszcze widziałam tragedię, o której mało kto słyszał – powiedziała i popiła łyk wody mineralnej.

– Tragedia w Lienzu rozegrała się zaraz po zakończeniu wojny. Towarzysze – powiedziała tonem, w którym była i drwina, i głębokie lekceważenie – postanowili zabrać z powrotem do ZSRR wszystkich swoich obywateli, wywiezionych na roboty do Niemiec. Potrzebowali siły roboczej. Kraj przecież leżał w gruzach. Brali wszystkich tych, którzy po wojnie siedzieli w obozach alianckich. Alianci dali nawet Rosjanom listy z nazwiskami. Wszystko działo się niedaleko od austriackiego miasta Lienz.

Tylko nie myl z Linzem! To był Lienz!

Pewnego dnia żołnierze sowieccy spędzili na ogromne pole wszystkich z rosyjskim obywatelstwem. Było nas dobre kilka tysięcy. Otoczyli nas z trzech stron. Z czwartej strony było ogrodzenie z żelaznej siatki. – Ciotka narysowała w powietrzu duży kwadrat. – Najpierw mieli nas gdzieś prowadzić, a potem do pociągów i jazda do ZSRR. Tymczasem – ciotka przymrużyła jedno oko, jakby opowiadała o jakiejś psocie – zaczęliśmy stawiać opór. Nikt nie chciał wracać do Rosji. Ogromna fala ludzka natarła na żołnierzy. Bagnety przebijały brzuchy. Żołnierze zaczęli strzelać. Płot się przewrócił. Ludzie rzucili się do ucieczki. Silniejsi tratali słabszych. Znalazłam się w samym środku ludzkiej masy, która unosiła mnie ze sobą.

Ciotka przerwała. Nie dziwiłam się, że ją unosiła; miała niewiele ponad 150 centymetrów wzrostu.

– Za płotem była rzeka, a za rzeką las. Ludzie rzucali się do wody i tonęli. Inni wieszali się na drzewach. Żeby tylko do *rodiny* nie wracać. Pewnie nie wierzyli, że da się uciec. Alianci postawili krzyżyk na tych ludziach. Cóż im tam ludzie? – powiedziała, wzruszając ramionami. – Świat liczył się ze Stalinem: „Bierzcie swoich i róbcie z nimi, co chcecie”. Dopiero jak Anglicy zobaczyli, że ludzie popełniają samobójstwa, żeby nie jechać, zareagowali. Siłą się nie udało, więc zamiast spędów wymyślili komisję kwalifikacyjną. Teraz komisja miała decydować, kto pojedzie z powrotem. Mnie uratował polski język.

Teraz wiesz, co to była tragedia w Lienzu. Bunt na placu i te tłumy, które wieszały się i tonęły, a na koniec ta wielka komisja. Kto mówił tylko po rosyjsku, musiał wracać. Nie było rady. A jak wrócił, to nie zawsze mógł iść do domu,

o nie! – Ciotka aż uniosła się z fotela. – Zaczynały się pytania: Dlaczego byłeś w Niemczech? Jak cię wywieźli? Pewnie nie walczyłeś. Pewnie się poddałeś albo uciekłeś. A poddanie się czy dezercja były równe zdradzie narodowej. A jak zdradziłeś naród i ojczyznę, to już rady na ciebie nie było. Było tylko jedno miejsce naprawy: sowiecki łagier.

I tak, widzisz – uśmiechnęła się – dzięki językowi polskiemu uniknęłam ZSRR. Do Polski też nie chciałam jechać. Za blisko było Wielkiego Brata. Bałam się, że Stalin i tam mnie dogoni. I nie myliłam się. Ale tego wszystkiego, co przeżyłam, nie ma co tutaj ludziom opowiadać – ciotka machnęła ręką.

Po chwili roześmiała się i zaczęła znów.

– Kiedyś zrobili tu u nas taki wieczorek zapoznawczy. Każdy ze ślimaków miał powiedzieć coś o sobie. No i opowiedziałam, jak się tu dostałam, wspominałam tragedię w Lienzu. Ktoś mnie wtedy zapytał: „Czemu ci ludzie po prostu nie odmówili powrotu? Mogli się przecież nie zgodzić i nie pójść na ten plac! Albo mogli wejść do pociągu i wysiąść na następnej stacji”. No i co wtedy powiedzieć? Na szczęście wieczorek się skończył i nikt potem już o nic nie pytał. – W głosie ciotki nie było cienia złośliwości. – Jak ktoś czegoś nie przeżył, to trudno zrozumieć i dać wiarę; stąd te naiwne pytania. O mojej Syberii to nikomu ani słowa nie pisałam.

Nie dziwiłam się ciotce. Mało kto na świecie zrozumie radzieckie realia, jeśli ich nie doświadczył. Ja znałam je od komicznej strony: kiedyś podobno wszyscy mieszkańcy osiedla mieszkaniowego w Moskwie dostali takie same zamki do drzwi.

– Drugi bal był na Nowy Rok – zaczęła ciotka po chwili przerwy. – Poubierali nas w czapki z kolorowego papieru, dali do ręki balony i kazali śpiewać *Happy New Year*, rozumiesz? – uśmiechnęła się żałośnie.

Rozumiałam ją. Ale *matron*, czyli kierowniczką domu, też miała swoje racje. Woląла widzieć ślimaki śpiewające razem *Happy New Year* niż siedzące samotnie w pokojach.

Po chwili ciotka śmiała się całkiem inaczej. Uradował ją widok zabawki, którą jej przywiozłam. Były to dwie kłapiące szczęki, podobne do jej własnych protez. Wzięła kiedyś zabawkę do jadalni i puściła w ruch po stole. Zęby szły i kłapały, ku zgrozie sąsiadek.

– Niechby przeżyły za mnie to angielskie jedzenie – mruknęła pod nosem. – No powiedz sama: *cake* z żelatyną i kiełbasa. Marzę o kapuśniaku albo o barszczu. Sama całe życie gotowałam, ciągle byłam w ruchu, a teraz: siedź, babo! Tylko jak czytam, to o wszystkim zapominam. Mówiłam ci już, że kiedyś czytałam dwie, trzy książki w tygodniu, no a teraz ledwo zdążę z połową: ot, zrobił się ze mnie taki *legally blind* – zakpiła.

– Co to znaczy „prawnie niewidomy”? – zapytałam ostrożnie. Myślałam, że to jej kolejny dowcip. Tak jakby można być albo niewidomym z punktu widzenia prawa, albo niewidomym naprawdę. Ale okazało się, że to nie był dowcip.

Legitymacja, że ktoś jest *legally blind*, uprawniała do specjalnej pomocy inwalidzkiej. A ciotka ślepa.

Matron krótko trzymała swoich pensjonariuszy. Ale mimo całej czujności nigdy nie nakryła nas z ciotką na nieprzestrzeganiu regulaminu. Melonowi i Mary, których sprowadzałyśmy na manowce, też się upiekło. Melon był to cichy adorator ciotki – starszy, przystojny pan. Ciotka nazwała go tak z powodu jego okrągłej, błyszczącej łysiny.

Cichcem przemykałyśmy się do pokoju Mary, gdzie rozpoczynały się orgie. Sąsiadka zawsze miała zakazane zapalki. (*Matron* odbierała je, żeby starszkwowie się nie podpalili.) Ciotka przynosiła papierosy – równie tępione jak zapalki. (Starszkwowie nie powinni ulegać nałogom.) Ja wyciągałam ćwiarteczkę whisky. A Melon przynosił orzeszki, fistaszki i inne łakocie. Tak paląc, pijąc i rozmawiając, prze hulaliśmy kilka wieczorów, nierzadko aż do dziesiątej!

Pewnego popołudnia siedziałyśmy przed domem i grzałyśmy się w marcowym słońcu. Moja kochana starszka popatrzyła na mnie filuternie i powiedziała:

– Wiesz, myślę sobie, czyby stąd nie uciec. Jakby to było, gdybym mogła jeszcze raz normalnie żyć, u siebie. Marzyłabym, aby mieszkać w małym domku i za pomoc odstąpić komuś pokój. Pamiętam lokatora, który kiedyś u mnie mieszkał. Pomagał mi we wszystkim; tylko troszkę kradł. Ale teraz niczego już nie mam, więc jedynie mógłby mnie otruć. – Ciotka puściła perskie oko. – A to nawet może i dobrze! Nie musiałabym się męczyć, starzejąc się latami – dodała westchnąwszy. Tym razem w kpinie było chyba odrobinę powagi. – Ech, z tą ucieczką; pewnie *chinook* mi w głowie zawrócił! – machnęła ręką.

Chinook znowu nawiedził Lethbridge. Ten słynny wiatr znad Pacyfiku przynosił ze sobą ciepło. W ciągu kilku godzin ludzie zamieniali futra na kąpielówki. Był tak silny, że kiedy rano szłam z ciężką torbą zakupów, torba dosłownie unosiła się na wietrze. *Chinook* działał ludziom na nerwy. Ilość wypadków samochodowych i samobójstw rosła wtedy gwałtownie.

Potem wiatr ucichł i ciotka nigdy nie wracała już więcej do marzeń o ucieczce.

– Przyjedź do nas, do Szwecji. Nie będziesz taka samotna – zaczęłam kolejny raz.

– Nie ma o czym mówić – pokręciła przecząco głową. – Tutaj jestem w swoim kraju.

Zdziwiłam się. Niedawno przecież mówiła, że nie jest u siebie. Ale miasto, w którym żyła od dziesiątek lat, było ważniejsze niż przypuszczałam.

– Tu nie jestem na niczyjej łasce, moja kochana – powiedziała. I powtórzyła: – Niczyjej. Nikomu tu nie przeszkadzam.

„Ani nie pomagam” – chciałam dodać, ale ugryzłam się w język. Autonomia za cenę samotności – pomyślałam – albo wspólnota okupiona zależnością. Zależność, której ludzie się boją. Wspólnota, do której tęsknią. Dylemat stary jak świat.

– Tu znam wszystko – mówiła ciotka. – Wiem, gdzie supermarket (którego już nie mogła odwiedzać), gdzie mieszka tłusty ksiądz (którego nie lubiła), gdzie jest ten mój terazniejszy dom i gdzie jest ten, w którym mieszkałam kiedyś.

Mówiła o przywiązaniu do miejsca, w którym się żyje. A może chodziło o przywiązanie do minionego czasu, który często (niestety) wydaje się tym najlepszym w życiu...

– A najważniejsze, to grób Jana – podkreśliła.

Mąż jej umarł dziewięć lat temu. Dzieci nie mieli i tak została sama. – Jana nie zostawię! Sama się koło niego kiedyś położę, ot co! – A potem, jakby po namyśle, dodała: – Bo widzisz, tam, gdzie masz swoich drogich, pod ziemią, tam masz szczególne miejsce dla siebie.

– Co ci po tym szczególnym miejscu, jak nie masz tu nikogo bliskiego? – zapytałam.

Ciotka nie śpieszyła się z wyjaśnieniem.

– Nawet ci, którzy mają tu wielkie rodziny – odpowiedziała – są sami. Widziałas te fotografie na półkach, stołach i stoliczkach? Dzieci, wnuki, prawnuki. A spytaj któregoś ślimaka, czy go wiele osób odwiedza.

Nie musiałam pytać. Ślimakom nie składano wielu wizyt. W przestronnych korytarzach stały eleganckie stoliki, fotele i kanapki, na których tylko czasem siadywali zagonieni krewni, nieraz już posiwiśle dzieci, spieszące do wnuków.

– Ludzie tu, w Lodge, też do siebie nie zagląдают. A wiesz czemu? – Wyprostowała się, nabrała powietrza i mierząc we mnie wskazującym palcem jak pistoletem, powiedziała: – Na starość, jeśli dożyjesz, zawsze zostajesz sama. Umiera twój mąż, przyjaciółka, brat czy siostra. Ci, którzy znają twój świat i pomagają ci w nim. Dzieci, wnuki i prawnuki – to inna sprawa. To ty nosisz je na rękach. Rozumiesz? Ale co robić. Trzeba umieć żyć o własnych siłach. Bo nawet gdy ci, którzy cię kochają, są przy tobie, to też przychodzą chwile, kiedy i tak jesteś sam ze swoim życiem. I u siebie samego musisz wtedy znaleźć pociechę, radę, wsparcie i siłę. A co dopiero potem, kiedy tych najdroższych już nie ma... Choć, o ile się nie mylę, ty masz jeszcze w odwodzie twojego Pana Boga, czy nie tak? – dokończyła i znacząco się uśmiechnęła.

Wywód ciotki przerwało pukanie do drzwi. Jakby na przekór temu, co mówiła o samotności.

Przed drzwiami stały dwa „koziorożce”. Byli to czerstwi starsi panowie. Obaj przypominali górskie kozły. Dwie szpiczaste czaszki osadzone na długich szyjach, wąskie, odstające uszy. Jeden miał nawet kozią bródkę. Z tym młodszym rozmawiałam przez telefon. Był profesorem *modern languages* na uniwersytecie w Lethbridge. Miał znaleźć jakiegoś studenta, który chciałby ciotkę odwiedzać. Przychodzić pod pozorem rosyjskich konwersacji. Sądziłam, że i ciotka, i student skorzystaliby na takiej wymianie.

Profesor nie znalazł nikogo chętnego, ale wpadł na inny pomysł. Przeprowadził ze sobą kolegę – profesora geologii. Miał nadzieję, że może on mógłby się „uczyć” u ciotki.

Panowie pojawili się jak grom z jasnego nieba. Ciotka nic nie pojmowała.

Ten trochę młodszy tubalnym głosem nastawał, aby kolega mógł ją odwiedzać. Mówił tak gromko, że ciotka pospiesznie regulowała aparat słuchowy, który gwizdał przeraźliwie. Geolog milczał i wbijał wzrok w ziemię. Potem zaczął mówić, ale strasznie cicho i niewyraźnie. Tym razem aparat nic nie łapał, ciotka nie słyszała i znowu musiała kręcić coś przy uchu. Ale zainteresował ją pomysł dawania lekcji. Aż tu nagle profesor mówi, że jest komunistą i podziwia Lenina. Rozmowa, dotąd kulejąca, teraz całkiem utknęła. W pokoju zrobiło się cicho. Ciotka szybko znalazła wyjście z sytuacji. Skoro geolog nie umie ani słowa po rosyjsku, tłumaczyła, a ona nie ma odpowiednich podręczników, to nic z lekcji nie będzie.

Kiedy panowie zamknęli za sobą drzwi, wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

– Widziałaś coś podobnego? – krztusiła się. Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. – Widziałaś coś podobnego! – powtórzyła rozbawiona, kiedy się uspokoiła. – Kto mi tu nasłał tych dwóch staruszków? – zastanawiała się. – A do tego jeszcze jednego komunistę! Już myślałam, że się nie wyniosą. A może im się spodobałam, co? Ojoj, dawno już się tak nie ubawiłam – śmiała się, składając ręce na piersiach.

Spotkanie z Galiną i Igorem było całkiem inne.

Poznałam ich w bibliotece. On rodem z Petersburga, ona – z Mińska. Mieszkali kiedyś w Moskwie. Na początku wszyscy się bali. I oni, i ciotka. Oni – bo nie byli pewni, czy nie jestem nasłana. Byli przecież uciekinierami i niedawno dostali kanadyjski azyl. Ciotka zachowywała rezerwę.

– Ach wiesz, z Rosjanami nigdy nic nie wiadomo: kto uciekinier, a kto szpieg. Stamtąd łatwo się nie ucieka. Podobno niedawno jakiś człowiek skonstruował coś w rodzaju krzeselka ze skrzydłami. Potem zapłacił traktorzyście, żeby go trochę pociągnął, i przeleciał na polską stronę. Słyszałaś coś podobnego?

Tej historii nie znałam, ale podzielałam zdanie ciotki. Przypomniałam sobie Wasylę ze Sztokholmu. Jednego wieczoru opowiadał mi w pubie na Starym Mieście, jak *pieszkom, pieszkom ubiezał iz Sojuza czerez Finlandiu*. Drugiego – ubrany w smoking, wychodził z radzieckiej ambasady i wsiał do oczekującej go limuzyny. A ja, jak na złość, *pieszkom, pieszkom*” minęłam go w odległości rzutu kamieniem. Był to czysty przypadek.

– Tylko głupiec nie miałby wątpliwości – mówiła ciotka.

Tak samo myśleli Galina i Igor: jakieś dwie Polki, i to jedna ze Szwecji, przyczepiły się jak rzep do psiego ogona i zapraszają. Licho wie, co się za tym kryje.

Ale w końcu wątpliwości rozwiały się. Igor, Gala i ciotka przypadli sobie do gustu. Dobrze się czuli ze sobą. Brali tyle samo konfitur do herbaty i wybuchali śmiechem prawie jednocześnie.

Młodzi ludzie nie musieli udowadniać ciotce racji, dla których zostawili Związek Radziecki. Ona sama uciekała przed pół wiekiem – oni niedawno. Choć może nie w tak dramatycznych okolicznościach, jak ci ludzie, o których pisały wszystkie gazety. Igor i Galina nie wkładali na ręce i nogi krowich kopyt i nie przechodzili na czworakach zaoranych pasów na granicy z Polską. Po prostu nie wrócili z wycieczki.

Z czasem serdeczność Gali i Igora rosła. Ciotka tak pięknie mówiła po rosyjsku. Stara kobieta mogłaby być ich babcią; ta prawdziwa została gdzieś daleko.

Rosyjski był dla niej jak nienawistny kochanek. Był językiem gułagów i Tołstoja. Językiem NKWD i jej drugiego męża, dla którego pisała wiersze. Wszehobecny rosyjski. Polski żył tylko w czterech ścianach domu – tak zresztą jak Polska, której tak długo nie było na mapie.

– Ojciec i matka i tak czuli się Polakami – ciotka podkreśliła słowo „czuli się”. – Mówiliśmy przecież po polsku, modliliśmy się po polsku, chodziliśmy do katolickiego kościoła, uczyliśmy się po kryjomu polskiej historii. Ale właściwie trudno jest się połapać w tym wszystkim – powiedziała i westchnęła. – Kim my właściwie jesteśmy? Kim? Sami się zastanówcie – tu powiodła po nas spojrzeniem, w którym było wyzwanie. – Tyle długich, długich lat żyliśmy pod zaborami. Musimy mieć coś z Rosjan, coś z Niemców, coś z Austriaków – a oni z nas. Bo kim jest babuszka, która modli się z polskiej książeczki do nabożeństwa, a nie umie sklecić zdania po polsku? Kim białoruski poeta mówiący z własnymi dziećmi po ukraińsku? Albo Rosjanin – mówiący jak Mickiewicz? Polacy i Białorusini wrywają sobie z rąk Ogińskiego i Moniuszkę. A Orzeszkowa? Wszyscy byli z tych stron. I kim są? Ludźmi, ot co! – staruszka trzepnęła drobną, kruchą dłonią w poręcz fotela, aż poleciało trochę kurzu.

Ciotka poruszyła temat-rzekę. Kwestia narodowości była dla niej zawila. Wciąż powracały dyskusje na tematy „kto jest kim”, a szczególnych rumieńców nabierały za każdym razem, kiedy przychodziła Shirley. Znajoma odwiedzała ciotkę w *Heritage Lodge*, przynosząc zielony tort – *grasshopper cake*, z galaretką, konfiturą i bitą śmietaną. Przepis był trochę irlandzki, a trochę kanadyjski (pewnie tak jak sama Shirley – urodzona w Dublinie, mieszkająca w Lethbridge połowę sześćdziesięcioletniego życia).

– Czujemy się Polakami, Białorusinami albo Niemcami – i w tym cała parada – ciotka zadowolona była z konkluzji.

– A czego więcej trzeba? – odezwała się nieśmiało Gala, urodzona w Mińsku, z ojca Rosjanina i matki Białorusinki. – Tylko że Polacy i inni mają Białorusinów za nic.

– Co ty, Galu, opowiadasz! – zaperzyła się ciotka.

Ale Gala prowokowała dalej.

– Białorusini niewiele są warci – powiedziała ironicznie. – Słabi i pasywni. To ich zagarną Litwini, to Rosjanie, to Polacy. Nie mają poczucia tożsamości, nie umieją się organizować, walczyć, nie mają kultury ani tradycji. Ich język to język prostaków. A właściwie, to w ogóle nie ma takiego narodu – podsumowała sarkastycznie.

Z ciekawością patrzyłam na ciotkę, czekając, co na to powie, ale ona siedziała cicho, z miną sfinksa: dawała się Gali wygadać.

– Nie wiem, nie wiem – rzuciła potem jakby od niechcenia. – Mój brat wystawiał białoruskie sztuki, w białoruskim teatrze, gdzie ja byłam suflerem. Ojciec za ciężkie pieniądze kupował torysowskie szkło, znane z pięknego szlif i dekoracji. A Skorym – pierwszy białoruski drukarz? Na jaki język przełożył Biblię, chyba w szesnastym wieku? Na starobiałoruski, ma się rozumieć. Ten sam starobiałoruski, który od unii horodelskiej¹ był językiem urzędowym. Nawet kancelaria królewska na Wawelu prowadziła w nim korespondencję. Może i prawda, że wszyscy Białorusinów gnietli na swój sposób, ale rzecz w tym, że nie zgnetli! – dokończyła.

Ciotka mówiła, a mnie przychodziły do głowy różne myśli. A może ci ludzie są ponad „narodowością”, „państwowością” i „obywatelstwem”? Może nie obchodzi ich tak bardzo, co mają wpisane do paszportu albo jaki paszport mają? Może nie są ciemni i słabi, lecz bardziej światli niż ci mocni i mądrzy? Bardziej uniwersalni, głębsi duchem i ponad przynależnościami?

– A to, że Białorusini nie walczą... – ciotka zawiesiła głos i skrzywiła się, na znak, że nie ma o czym mówić. – Może są ponad to – dokończyła, jakby brała udział w moich rozmyślaniach.

– Bzdury! – wykrzyknął cichy dotąd Igor.

Pomyślałam, że teraz rozpęta się awantura na temat patriotyzmu, bohaterstwa i walk za ojczyznę. Ale ciotka była spokojna – jak tafla jeziora. Wyglądała, jak gdyby usiłowała sobie coś przypomnieć, aż wreszcie powiedziała powoli, tym swoim twardym, rosyjskim akcentem, wymawiając mocno „r”: – *Why do the nations so furiously rage?*² – Po czym dodała: – To nie ja to wymyśliłam, to gdzieś ze Starego Testamentu.

Znowu zapadła cisza.

– Gdzie kończy się Polska na wschodzie? Gdzie na zachodzie? Gdzie Rosja zaczyna się i kończy? Gdzie Białoruś? Kto to wie? – powiedziała śpiewnie.

– Tam, gdzie nie ma Polaków! – Igor zrobił komiczną minę, a potem dodał: – Ale Polacy są wszędzie i cały świat do nich powinien należeć!

I znów trzeba było się śmiać.

¹ Unia horodelska – zawarta między Polską i Litwą w 1413 roku w Horodle, wprowadziła instytucję wielkiego księcia na Litwie, a litewskim rodom bojarskim przyznała liczne przywileje.

² Dlaczego narody tak zaciekle walczą? (ang.)

– Kim jest mój sąsiad? – odezwała się Gala. – Człowiek bije się w piersi: jestem Polakiem. Ale jak zły, to klnie na psa po rosyjsku, a jak szczęśliwy, to po rosyjsku wypiewuje.

– Ludźmi jesteście, Galinko, ludźmi, ot co! – powtórzyła ciotka pojednawczo. – Ludzie mówią o sobie: „my, tutejsi”, i chyba mają rację.

Pytaniom nie było końca. Czy Białorusini są skąpi, czy też Rosjanie po prostu bardziej szczodrzy? Czy naprawdę wolą cierpieć i trwać niż walczyć i ginąć? Jak potrafili odmówić Tatarom haracz, który płaciła Ruś Czerwona i Czarna?

Biała Ruś – Ziemia Wolna od Jarzma; czy stąd wzięła się nazwa tego kraju? Czy też od bieli strojów narodowych, noszonych na Ziemi pod Białymi Skrzydłami Bocianów? I skąd w tym „ciemnym narodzie” wzięła się Eufrozyna Połocka – uczona mniszka sprzed dziewięciuset lat, wobec której bledną wąsaci mężowie stanu?

Na ile Dostojewski, nienawidzący Polaków z serca i z duszy, mówiący biegle po polsku, czytający Mickiewicza i urodzony na Polesiu, był Rosjaninem? Na ile Mickiewicz – mający w Litwie ojczyznę – był Polakiem? Kim czuł się Chagall, rodem z Witebska? Kim Glinka spod Mińska? A Kościuszko z Domeyką?

Późno w noc słyhać było podniesione głosy Igora, Gali i ciotki, którzy rozwiązywali problemy narodowości.

Ja z konieczności milczałam; przynajmniej raz nie wtrącałam swoich trzech groszy, bo po prostu mój rosyjski nie nadążał. Świeć, Panie, nad duszą Mikulicza, który uczył mnie tego języka na uniwersytecie w Poznaniu. Jak ten dobry człowiek wytrzymywał studencką arogancję i niechęć do swojego przedmiotu, dyktowaną radziecką dyktaturą w Polsce – trudno pojąć.

Kiedy rozstawałyśmy się z Galą i Igorem, nie wiedziałam, że ten rosyjski wieczór przyniesie mi coś nieoczekiwanego.

Następnego dnia rano ciotka powiedziała: – Całą noc nie spałam...

Jej powrót do języka był jakby powrotem do lat, które spędziła w Rosji. Powrotem do tego okresu życia, który nosiła zamknięty gdzieś w głębi serca. Do historii, której nie opowiadała, bo bała się nie tyle ją obnażyć, co... ośmieszyć. I tak nikt by jej nie uwierzył. A zresztą, historia była zbyt odległa.

Tymczasem dla mnie, kiedy jej słuchałam, czas zatrzymywał się. Ciotka otwierała tajemnicze drzwi, zaryglowane od lat. Wydawało mi się, jakby każdy dzień z siostrą mojego ojca miał jakiś pozaziemski wymiar. Z otchłani czasu wyłaniała się najważniejsza osoba mojego życia: babcia Antonina – matka ciotki i mojego ojca.

Antonina Felicja Konstancja zmartwychwstała w Kanadzie. W okrągłych oczach swojej córki, niebieskich jak kawałek nieba, w lekko wystających kościach policzkowych, w głosie. Ciotka także zamiast mówić, prawie śpiewała, zmiękczając „l”. Tylko bardziej trzeszcząco – od papierosów. Tym samym gestem babci pokazywała, że coś jest niewarte słów. I dziwiła się jak babcia – prawie

niezauważalnie. Jak babcia zastygała czasem w uśmiechu, lekko wysuwając podbródek, jakby czekała, co będzie dalej. Tyle że w odróżnieniu od swojej matki miała wszystkie zęby – chociaż sztuczne.

Patrząc na tak miłą dla mnie, pomarszczoną jak rodzynka staruszkę, zastanawiałam się, gdzie kończy się ciotka, a zaczyna babcia. Babcia, dzięki której łatwiej mogłam pojąć, o co chodzi świętemu Pawłowi w jego Pierwszym Liście do Koryntian. Przy ciotce, tak samo jak przy jej matce, czułam się bezgranicznie pewna. Nawet jej gniew mnie nie przerażał. Jak u babci, kończył się na pogrożkach albo na pomstowaniu. I – co zastanawiające – budził we mnie autentyczną skruchę i żal, nie zostawiając ani śladu złości czy urazy. Nie odbierał mi świadomości, że mimo reprimendy i tak jestem kochaną Ineczką.

Przez babcię ciotka była mi coraz bliższa. Była mi bliższa niż ja jej. Choć spotkałam ją dopiero niedawno, znałam ją przecież od tylu lat. Powiedziałam jej o tym. I o tym przedziwnym, zagadkowym uczuciu: jakbym to ja była od niej starsza. Może dlatego, że kiedyś z jej własną matką dzieliłam obawy o nią.

Babcia pożegnała Helę na dworcu w Witebsku w 1941 roku, kiedy Niemcy wywozili córkę na roboty. Od tego momentu nigdy więcej się nie zobaczyły. Helenka zamieszkała gdzieś w dalekiej Kanadzie. Pisała, że dobrze jej się życie układa. Ale czy matka mogła mieć pewność? Może córka pisała tak, bo nie chciała jej martwić. Jedno tylko było dobre w tym wszystkim: Hela uciekła od nich – od czerwonych.

Dla mnie Hela była legendą. Młoda dziewczyna, w królewskim płaszczu, z diademem na głowie i krzyżem w ręku – tak ją sobie wyobrażałam całe dzieciństwo. Była to po prostu święta Helena z obrazka w mszale babci. A teraz legenda siedziała naprzeciwko mnie.

Helena Amelia Weronika – jedyna córka Hipolita i Antoniny. Jedyna siostra pięciu braci.

– To mszał się uchował? – pytała ciotka z niedowierzaniem. – Taki czarny, gruby chyba na trzy palce? – upewniała się.

Tak, to był ten sam mszał. Z jej własnego dzieciństwa. Z czasów, kiedy chodziła do pobliskiego kościoła na Złotą¹ Górkę i wpatrywała się w obraz świętego Rocha, patrona chroniącego przed morem.

– Pamiętam, że w mszale były pocieszne imiona świętych – powiedziała i marszcząc czoło, zaczęła wyliczać na palcach: Karp i Antymon, Zyzyniusz i Liberat! Nemezjusz i Rustyka. Albo, pomyśl: Ruf i Nominanda! Stakteusz z Paramonem!

W księżce do nabożeństwa babcia chowała okruchy przeszłości. Oprócz świętej Heleny pamiętałam dwa małe obrazki z modlitwami... po francusku. Jeden

¹ Początkowo drewniany kościół – znany jako kościół św. Rocha bądź Trójcy Świętej. Zamknięty i obrabowany w latach 30. XX wieku. Odremontowany i otwarty ponownie w 1983 roku – służył jako sala koncertowa dla orkiestry symfonicznej. W 1991 roku przywrócono sprawowanie w nim nabożeństw w obrządku katolickim.

z sercem z róż zawieszonym na krzyżu – pamiątka jakichś rekolekcji w 1915 roku. I ten drugi – pamiątka Pierwszej Komunii syna Stasia, 3 listopada 1921 roku. Smutny Pan Jezus siedział z kulą u nogi w więzieniu, na kamiennej ławce, pod zakratowanym oknem. Nie było chyba lepszej ilustracji do życia w Mińsku w tych czasach.

– A gdybyś widziała nasz kościół na Złotej Górcie! – mówiła ciotka z przejęciem. – Sam Jagiełło kazał go wybudować. A potem, mimo kilku pożarów, Złota Górcza i tak oparła się wiekom! Pomyśl, ponad pięćset lat! Choć teraz pewnie zrobili z kościoła jakiś magazyn – podsumowała zrezygnowana.

Od wizyty Igora i Galiny upłynął niecały tydzień. Milczący dotąd telefon nagle się obudził.

– Gala zaprasza nas na obiad – zapowiedziała ciotka wniebowzięta, odkładając słuchawkę. – Mają być pierogi z mięsem i kapustą. Marynowane śledzie i prawdziwy krupnik! No, zobaczmy, jak ona gotuje; już mi ślinka leci.

Obiad rozpoczął się w południe. Na stole nie było ani centymetra wolnego miejsca między półmiskami i salaterkami.

– Galinko, miła ty, przygotowałaś obiad dla regimentu kozaków, a nie dla baby z wrzodami żołądka i tego chudzielca ze Szwecji. Ale krupniku to jeszcze poproszę... – przyznała ciotka, przysmykając oczy.

Kiedy dochodziła dziewiąta, ani myślała wychodzić. Gala, rosyjskim obyczajem, zachęcała, żeby jeszcze próbować, ale nikt już nie mógł. Oboje z Igorem siedzieli przy stole podparci na łokciach, wlepiając oczy w ciotkę, ubraną we własnoręcznie uszytą wykwinną garsonkę a la Coco Chanel.

– Naprawdę nie wiecie, skąd się wzięli ci mińscy Polacy? Do jakiej wy szkoły chodziliście? – śmiała się staruszka.

– Ja do chińskiej, w Szanghaju. Za przewodniczącego Mao – odpowiedział Igor i podniósł kieliszek. Nie żartował. Był lekarzem, ale żył z akupunktury, której naprawdę uczył się w Szanghaju.

– A ja do sowieckich – powiedziała Gala. Była nauczycielką kompozycji i fortepianu w konserwatorium w Moskwie.

– Dlatego nic nie wiecie! – stwierdziła ciotka rzeczowo, nie robiąc nikomu wyrzutów. – A z Polakami w Mińsku było tak: wszystko poszło od Jagiełły. Król miał dobrze po sześćdziesiątce, kiedy ożenił się z dwunastoletnią Jadwigą.

– O Boże! Biedne dziecko! – wykrzyknęła Gala.

– Chodziło przecież tylko o politykę, Galinko! – uspokoiła ją ciotka. – I ja się mu nie dziwię, że szukał oparcia w Polsce. Tylko w ten sposób mógł uratować Litwinów.

– Przed czym? – zapytał Igor.

– Z zachodu grozili im Krzyżacy. Ze wschodu Wielkie Księstwo Moskiewskie, z południa Turcy, Tatarzy, i nawet twoi Szwedzi zęby ostrzyli – ciotka pogroziła mi palcem.

– Rozumny człowiek ten Jagiełło – zauważyła Galina, sadzając sobie na kolana dwuletnią córeczkę.

– Ale Jadwiga umarła – ciągnęła ciotka – i król ożenił się jeszcze raz. Wziął sobie córkę kniazia Holszańskiego – Zofię. Dziewczę miało może siedemnaście lat, a on był niewiele młodszy ode mnie.

– O Boże miłosierny – jęknęła Galina.

Ciotka wybuchnęła śmiechem.

– W każdym razie miał z nią syna – Władysława IV, tego, który zginął pod Warną w wojnie z Turkami.

– Ale co polskiemu królowi do Turków? – zapytał Igor.

– Nic. Polakom nic, ale Węgrom było.

Ciotka otworzyła czarną, wizytową torebkę i dyskretnie wyciągnęła chustkę do nosa. Był to misternie obrębiony kawałek batysty, jaki w moim gospodarstwie awansowałby do miana serwetki. Wycierając niewidoczny pot z czoła, ciągnęła wątek:

– Władysław został królem i Polski, i Węgier. A ponieważ Węgry były w wojnie z Turcją, więc król musiał też bić się za Węgry.

A wiecie, kto go do tej wojny podjudził? Nie kto inny jak legat papieski – ciotka ściszyła głos, rozglądając się, jakby w obawie, że legat mógłby ją usłyszeć. Opowiadając, była w swoim żywiole. Z rozplomienionymi policzkami – wydawało się, jakby odżyła i odmłodziła.

– Po Władysławie królem został Kazimierz Jagiellończyk, jego młodszy, piękny brat.

– Skąd wiesz, że piękny? – wtrąciłam.

– Nie czytasz powieści? Jak młodszy, to musi być piękny! Inaczej być nie może – dowcipkowała. – To właśnie on za zasługi po Warnie nadawał wsie w słuckim powiecie.

– Ale przecież Polacy przegrali... – zdziwiłam się.

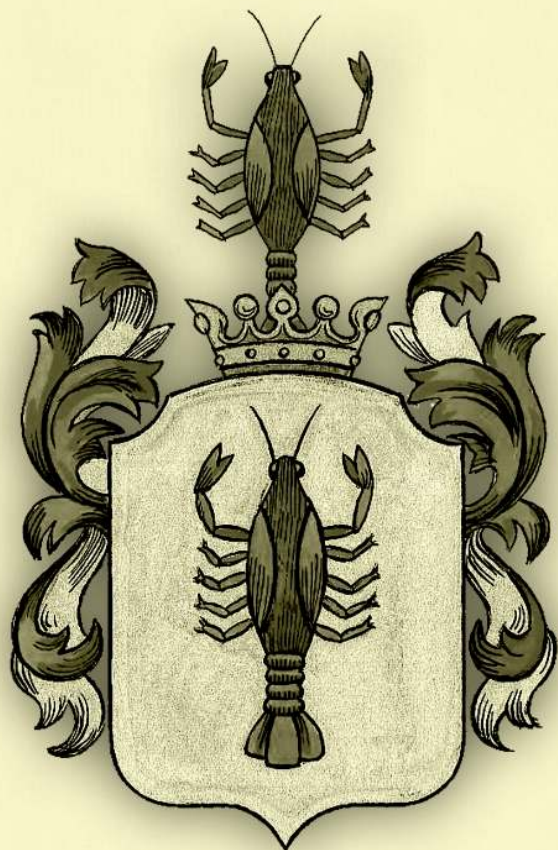
– Owszem, Polacy cofali się rakiem, ale króla bronili – tłumaczyła ciotka. – I dlatego mamy w herbie raka.

– Niewielki to honor: cofać się – powiedziałam.

– Wielki – niewielki. To też taktyka. Mogli uciekać jak zające, zostawić króla samego. Ale nie zostawili. Mimo że przegrywał. Może w tym leżała ich największa zasługa. Zresztą Kutuzow też się cofał i cofał, aż zwyciężył Napoleona – dodała.

– Pomogła mu zima i teren – nie poddawałam się.

– A on umiał to wykorzystać! – uśmiechnęła się tryumfująco.



HERB WARNIA

NADANY PO NIESZCZĘLIWEJ DLA POLSKI
WOJNIE Z TURCJĄ W 1444 R.

Herb rodziny Ćwirko-Godyckich: czerwony rak na srebrnym polu

I tak rozmowa zesłała na temat: jak lepiej w życiu zwyciężać. Atakować – czy może cofać się. Stać jak dąb nieugięty, zszarpany burzami, wypalony od uderzeń piorunów. Czy – jak osika – poddawać się wiatrom i burzom, i trwać, mimo huraganów.

Gala, Igor i ciotka przenieśli się na brązową kanapę, pełną poduszek. Ciotka zaczęła wypytywać młodych o ich życie, o życie w ogóle. Byli trochę zdziwieni, że stara kobieta pyta ich o ocenę różnych sytuacji. Ciotka, jakby czując, co myślą, powiedziała nagle;

– Człowiek nie wino – nie zawsze z wiekiem lepszy. Z tego powodu, że urodziłam się ze sto lat temu i jestem stara, mogę być mądra. Ale nie muszę...

Igor z Galiną popatrzyli na siebie i na mnie, jakby mówili: Kim jest ta niezwykła staruszka? Teraz oni zaczęli pytać.

– Nic nie zapowiadało wydarzeń, które miały nastąpić – zaczęła chętnie ciotka, tonem dyrektora cyrku, który prosi o absolutną ciszę przed zapowiadającym numerem.

Jak każdy przyzwoity dreszczowiec jej życiorys zaczął się obrazem idylli.